# ZIELONE SARI

Ananda Devi

# ZIELONE SARI

*przekład i posłowie*
*Krzysztof Jarosz*

wydawnictwo
w podwórku

Nie jestem apostołem grzecznej gadki. Brzydzi mnie hipokryzja tych pięknych i pustych formułek, na które tak łasa jest nasza epoka. Nie jestem ani młody, ani bogaty, ani słaby, ani miły, nie jestem ani kobietą, ani białym, ani czarnym, anim zgłodniały, ani gruby, piękny czy niezgrabny, nie należę do gnębionej mniejszości, ani też do nieczułej większości, żaden ze mnie polityk gaduła ani apokaliptyczny prorok, matka Teresa czy Berlusconi – krótko mówiąc, nie jestem ani najlepszy, ani najgorszy.

Jestem mężczyzną i niedługo umrę.

Jestem stary i niedługo ulegnę rozkładowi.

Jeśli spodziewacie się dobrej zabawy, idźcie swoją drogą. Jeśli myślicie, że wyjdziecie stąd z brzuchem pełnym dobrych uczuć, pomyliliście drzwi.

A wy, ludzie, którzy krzyczycie zbyt głośno, nie mając nic do powiedzenia, wysłuchajcie mnie, jeśli chcecie, a jak nie, to spieprzajcie stąd.

Wszystko mi jedno.

Usłyszałem wjeżdżający pod górę samochód; rozpoznawalne z daleka rzężenie starego gruchota, który napawa ją dumą za sprawą czegoś w rodzaju snobizmu na wspak i który prowadzi na bezdechu, całkowicie owinięta wokół kierownicy.

Zadzwoniła do drzwi, kilka razy, niecierpliwie pragnąc wejść. Chichoczę. Nie wie, co ją czeka, ale ta druga kretynka, ta, co ją wezwała, wiedziała, w co ją pakuje. Nie spieszy się, żeby otworzyć, powłóczy pantoflami i swoim chudym ciałem, gdzieś w dławiącym się ciszą domu, za rojącymi się od termitów ściankami działowymi. Tamta, zniecierpliwiona, miota się na wietrznym podeście przed drzwiami.

Wreszcie decyduje się otworzyć. Wyobrażam sobie ich wstydliwy pocałunek, plaskające wydatne policzki. Za to spojrzenia się nie spotykają: obydwie nauczyły się na siebie nie patrzeć. Teraz stara odsuwa się, żeby wpuścić młodą. Młodą jak młodą, skończyła czterdziestkę, jestem tego prawie pewien, nie pamiętam już jej daty urodzenia, ale musi mieć przynajmniej tyle. Druga ma, jak mi się zdaje, z sześćdziesiąt dwa, może

trzy. Co za różnica? Obydwie są dużo starsze ode mnie, który mam zaledwie kilka zmarszczek, wszystkie włosy i zęby własne, a na dodatek więcej inteligencji w jednym włosku niż one kiedykolwiek miały w całej masie swoich rozkładających się ciał.

Teraz pora na babskie szeptactwo! Nie mają sobie równych w poszeptywaniu, jakby bezustannie czuwały przy czyichś zwłokach. Szepcze to ze wstydu, szepcze to ze strachu, szepcze to ze złości, wyszeptuje toto wszystkie sekreciki, których potrzebuje, żeby się czuło ważne. Te tajemnice, które rozdymają je jak gazy, to ich lekarstwo na nudę.

Dlaczego mnie wezwałaś? – mówi pierwsza, rozedrgana w nerwowych domysłach.

Nie mogłam tego powiedzieć przez telefon – mruczy druga.

Powiedzieć czego?

On tu jest.

Jaki on?

Dobrze wiesz.

Koniec rozmowy. Milczenie. Zapomniana kropla potu na wąsach jednej. Chwila wyrwana z próżni, w której żyje druga. Młodsza pobladła. Nie pomyślała, że po całym tym czasie matka wezwałaby ją z tego powodu. Znaleźć się tu przez „niego", przez tego, którego imienia nie należy wymawiać, nie, tego się nie spodziewała, po tym jak jadąc tu, roiła nie wiedzieć jakie marzenia o pogodzeniu się, gdy zaciskała spocone, drżące dłonie na kierownicy swojego rzęcha. Myślała, że matka chce odnowić z nią stosunki. Pudło! Twoja mamuśka nie chce się z tobą pogodzić, chce tylko, żebyś jej pomogła stawić czoło temu ojcu, na którego nie umiała sobie zasłużyć.

Jak widzisz, zawsze będziesz tą, którą się wzywa, gdy wszystko inne zawiedzie.

Milczenie trwa. Nie słyszę już nawet ich szeptu. Co knują? Co mogą mówić do siebie z tamtej strony drzwi, pozwalając mi się macerować w tym zamkniętym pokoju? Mogła mi dać swój, ale nie, nawet tego nie zrobiła, to pokój gościnny, dla przyjaciół, którzy nigdy nie przyjeżdżają i których nieobecność napełnia pomieszczenie pogardą, a ona mi mówi ze ściśniętymi wargami i nozdrzami, że toaleta jest obok, tak jakbym miał siłę do niej dojść, czy muszę jej przypominać, że obłożnie chory nie wychodzi z łóżka, że trzeba się nim opiekować i załatwiać jego potrzeby, że ma już życie za sobą, dosyć z siebie dał, teraz to on potrzebuje opieki!

Złość sprawia, że w ustach czuję gorycz żółci. Mam ochotę splunąć. Gardząc pudełkiem z chusteczkami u boku mojego łóżka, zanoszę się kaszlem i wypluwam wydobytą z głębi płuc kulkę zielonego śluzu. Gdy przyjdzie, po prostu schyli się i wytrze. Jeśli w ogóle cokolwiek dostrzeże.

Wiatr zerwał z kamforowców liście i przykleił je do szyby, zasłaniając słabe światło. Miasto Curepipe jako jedyne w kraju pogrążone jest w bezustannej jesieni. Tylko tutaj żyje się w miejscu, które tak stanowczo odmawia dostępu tropikalnemu słońcu. Ciągle pada, jest zimno, wilgoć wchodzi przez wszystkie pory, pokrywa wam pleśnią skórę, przesyca was śniedzią, sprawia, że między palcami rosną wam grzyby. Nigdy bym tu nie przyjechał, gdybym mógł się schronić gdzie indziej. Ale pozostała już tylko ona, ze swoimi jasnymi oczami o księżycowym kształcie, tymi kocimi ślepiami, przez które otrzymała przydomek Kitty, kiedy była dzieckiem. Wszyscy uważali, że jest ładna z tą swoją trójkątną twarzyczką o prawie

chińskich rysach (a przecież mamy dobre indyjskie korzenie). Uśmiechałem się, kiedy to mówiono. Gdy tylko zostawaliśmy sami, od razu wyprowadzałem ją z błędu: mówią tak, żeby mi sprawić przyjemność, przypominałem jej. Mówią tak, bo nie masz matki. W rzeczywistości nie jesteś piękna. Jesteś inna. Jesteś potworna. W rodzinie nikt nie ma oczu o takiej barwie i kształcie jak ty. Nie wiem, skąd się wzięłaś. Powinni cię nazywać raczej Chinolką.

Konsternacja dekomponowała jej twarz. Wstyd kneblował usta. Mówiłem jej wtedy, Kitty, Kitty, Kitty, chodź, moja koteczko, chodź na kolanka do tatusia. A ona wzdychała, drżała, zbliżała się.

Jej prawdziwe imię to Kaveri Bhavani. Gdy miała przyjść na świat, jej matka długo pochylała się nad starymi księgami, żeby w końcu wydobyć z nich to trudne do wymówienia słowo. Nazywała ją Kaveri Rani, księżniczką Kaveri. Na szczęście Kitty nie pamięta tego. Na szczęście jej matka umarła, zanim mogła nafaszerować głowę córki złudzeniami.

Księżniczka Kaveri nie przetrwała długo. Potem stała się dla wszystkich Kitty. Po prostu Kitty. To imię na jej miarę.

Jest jak te koty, co wpatrują się w was ślepiami tak zimnymi, że macie ochotę wytrzeć sobie zelówki ich czyściutkim futerkiem.

Wiem, jakie jest podłoże tego bagna. W końcu dobrze wybrała dla siebie miasto: Curepipe pasuje do jej natury szamba.

W kamforowcach oszalałe od deszczu bengaliki podjęły swoje chóralne śpiewy. Nie dają mi spokoju. Za każdym razem, gdy zaczynam usypiać, rzekłbyś, że dowiadują się o tym wszystkie ptaki na ziemi. Potem przyjdzie kolej na ropuchy i wreszcie na psy. Zwierzęca symfonia, ale bez jakiejkolwiek

harmonii. Zbyt mocno ceni się przyrodę. Chronić ją przed ludźmi? Ci, co mają oczy otwarte, wiedzą, że to – przeciwnie – ludzi trzeba chronić przed przyrodą. Ale, jak w każdej sprawie dzisiaj, wypada pojmować na wspak nauki naszych ojców.

Te dwie samice kruka, odmawiające za drzwiami swoje litanie pretensji, również stanowią zagrożenie: uosabiają odwet słabych.

Zastanawiam się, co sobie opowiadają. Kłamstwa, ciągle kłamstwa. Powinienem spać, choćby po to, żeby je wkurzyć, kiedy w końcu do mnie przyjdą. Mógłbym udawać. Zamknąć oczy, głośno oddychać i słuchać, co mówią.

Potem wprawię je w drżenie, bardzo wiernie powtarzając ich bzdury.

*

Są tutaj. Patrzą na mnie. Nic nie mówią.

Wydają z siebie bezgłośny śmiech, zaledwie falowanie powietrza, które postrzegam mimo zamkniętych oczu. Ten śmiech zawiera nowe porozumienie. Ale nie mogą się zjednoczyć. Muszą pozostać wrogami. Potrzebuję uderzać jedną w drugą, inaczej to w ogóle nie będzie zabawne.

Otwieram jedno oko. Nieruchomieją. Z twarzy Kitty ucieka kolor. Cudowna moc, jaką nad nią mam. Widząc, że na nią patrzę, odruchowo się cofa. Sześćdziesięcioczteroletnia starucha, a ciągle ta mina dziecka, które zaraz dostanie w skórę. Ledwie otwierając usta, szepczę śpiewnym tonem, chodź, Kitty, Kitty, moja koteczko. Tylko ona mnie słyszy. Na pamięć zna tę me-

Tytuł oryginału: *Le sari vert*
Przekład, opracowanie i posłowie: Krzysztof Jarosz
Recenzent tomu: dr hab. Tomasz Swoboda, prof. UG

Publikacja współfinansowana przez Uniwersytet Śląski w Katowicach.

UNIWERSYTET ŚLĄSKI
W KATOWICACH

© Éditions Gallimard, 2009
© for this edition by Wydawnictwo w Podwórku
© for the Polish translation and the Afterword by Krzysztof Jarosz, 2018

Wydanie pierwsze, Gdańsk 2018

Na obwolucie: *Leptogenys maxillosa*, fot. April Nobile, © AntWeb.org, reprodukcja na licencji: CC-BY-SA-3.0
Opracowanie książki i przygotowanie do druku – zespół wydawnictwa w składzie: Dorota Szmit, Stanisław Danecki
Druk i oprawa: Drukarnia Skleniarz, Kraków

Wydawnictwo w Podwórku sp.j.
ul. Waryńskiego 44a/16, 80-242 Gdańsk
tel. 731 952 067
e-mail: wydawnictwo@wpodworku.pl
www.wpodworku.pl

ISBN 978-83-64134-25-8